

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.

Czynne od g. 12 — 2 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{1}$ strona — 80 zł.

$\frac{1}{2}$ „ — 40 „

$\frac{1}{4}$ „ — 20 „

$\frac{1}{8}$ „ — 10 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Sprzeczne prądy.

Zabójstwo króla jugosłowiańskiego Aleksandra oraz stłumiona rewolucja w Hiszpanji zwróciły uwagę świata politycznego na ruchy separatystyczne, odśrodkowe, jak widać, żywotne i prężne, mimo panującej dziś naogół tendencji nacjonalistyczno-unifikacyjnej. Można zaryzykować twierdzenie, że rozwój współczesnej Europy odbywa się jednocześnie w dwu biegunowo sobie przeciwnych kierunkach. Z jednej strony obserwujemy mocne dążenie do scalenia jednostek terytorjalnych, posiadających odrębną przeszłość historyczną, lecz wspólny charakter etniczny (Trzecia Rzesza, Włochy faszystowskie), z drugiej — widzimy cały szereg objawów, świadczących, że tradycje i ambicje historyczne, pewne drobne nieraz różnice plemienne językowe lub zwyczajowe są silniejsze od poczucia jedności narodowej i państwowej.

Pomijamy ruchy iredentystyczne mniejszości narodowych, które idą raczej po linii prądów całkujących, ale już separatyzm kataloński i baskijski w Hiszpanji, bretoński we Francji, słowacki w Czechach należą do zjawisk tylko do pewnego stopnia mających zabarwienie narodowościowe. Całkiem zaś w sprzeczności z dominującym dziś nacjonalizmem pozostają separatyzm chorwacki, autonomizm alzacki i państwowość austriacka.

Różne przyczyny wpływają na powstawanie ruchów separatystycznych, poczynając od ekonomicznych, a kończąc na irracjonalnych. Najczęściej jednakże powodem dążeń odśrodkowych jest pragnienie zachowania przez dany kraj i jego ludność swego oblicza indywidualnego, które usiłuje zatrzeć niwelujący centralizm państwowy. Im na wyższym kulturalnie poziomie znajduje się owa, uważająca się za pokrzywdzoną, ludność, tem jej opór jest

silniejszy, a w zależności od temperamentu nieraz i gwałtowniejszy również. Masy ciemne, nieuświadomione czują może swe upośledzenie i niechęć do żywiołu panującego, ale nie są zdolne do czynu, do walki, nawet do sformułowania swych żądań. Dlatego też zorganizowane ruchy separatystyczne, z którymi liczą się czynniki rządzące, istnieją w takich krajach jak Katalonja, Kroatja, Alzacja, gdzie uświadomienie obywatelskie ogarnęło szerokie koła ludności.

Oczywiście antagonizm pomiędzy buntującą się grupą ludności a większością ją oprymującą ma źródło zawsze w większej lub mniejszej odrębności etnicznej, przyczem język bynajmniej nie stanowi tu cechy wyróżniającej. Chorwaci posługują się tym samym serbskim językiem, jednakże to nie przeszkadza im uważać się jeżeli nie za naród, to za szczep odmienny, niż Serbowie. Różnice wyznaniowe w tym wypadku odegrywają pewną rolę, lecz nie decydującą, w innych zaś, jak np. w Alzacji, Katalonji, Bretanii i t. d. wspólne wyznanie nie powstrzymuje od ostrych tarć i głębokich rozdzźwięków.

W pewnych momentach, a nawet okresach despotyzm władzy centralnej, dyktatura czy absolutyzm dynastyczny tłumią dążenia odśrodkowe i spajają w jeden z pozoru jednolity organizm państwowy nawet bardzo różnorodne kraje i dzielnice. Ten sam skutek może mieć również jakaś porywająca masy idea: religijna, społeczna, rasowa. Ale nawet po upływie wieków wspólnego bytu państwowego często budzi się wśród tej lub owej grupy ludności niezadowolenie z supremacji innej grupy, z reguły niemal tej, która stanowi większość i zajmuje terytorjum centralne, rzecz prosta, nie w sensie geograficznym, lecz w znaczeniu państwowym. Reminiscencje z zamierzchłej nieraz przeszłości, drzemiące nieraz na dnie duszy zbiorowej tradycje patriotyzmu lokalnego, wykorzenione, zdawałoby się, do-

szczerne aspiracje do samodzielności, w sprzyjających warunkach nagle się ożywiają, nabierają mocy i porywają tłumy.

Cóż mówić dopiero o całkiem świeżych próbach zjednoczenia *pokrewnych*, lecz nie identycznych czy to językowo, czy chociażby tylko psychicznie szczepów etnicznych. W budowie państwowej Jugosławii zarysowały się odrazu groźne pęknięcia, nie jest bez skazy gmach Czecho-Słowacji, a wielka kwestja, czy bezwzględny eksperyment Hitlera, mający na celu ostateczną unifikację i scementowanie północnych i południowych Niemiec nie zawiedzie i nie wywoła z czasem, gdy minie obecna psychoza, reakcji w duchu rozluźnienia zbyt gwałtownie zaciśniętych więzów.

Warto, aby nad temi wszystkimi zagadnieniami zastanowili się poważnie tak liczni dziś wyznawcy nacjonalistycznego światopoglądu. Najbardziej liberalni z nich gotowi są przyznać prawo do samodzielnego bytu określonym narodowościom, o uwzględnieniu jednak odrębności historyczno-terytorjalnych żaden z nich nie myśli. Ani historia, ani geografia nie mają dla nich żadnego znaczenia. Są takimi samymi doktrynerami, jak ich najgroźniejsi przeciwnicy, wierzący w przebudowę świata kapitalistycznego na modłę komunistyczną. A życie nie słucha jednych i drugich i płynie swoim korytem, pełnem niespodzianek, zwrotów i zakrętów.

Polityczne pięknoduchy.

Przed kilku miesiącami zamieściliśmy w naszym piśmie krótką wzmiankę o zarejestrowaniu w Warszawie stowarzyszenia pod nazwą „Związek Przyjaciół Litwy”.

Obecnie mamy już pierwszy owoc działalności tego związku: Nr. 1 „Przeglądu polsko-litewskiego”

w formie odbitki z miesięcznika „Nasza Przyszłość”, organu „polskiej myśli państwowej”.

„Przegląd polsko-litewski” nie imponuje ani rozmiarami, ani obfitością treści. Składają się nań zaledwie dwa artykuły: krótki — dr. Jana Bobrzyńskiego p. t.: „Związek Przyjaciół Litwy” oraz dłuższy — dr. Andrzeja Zawadzkiego p. t. „My i Litwa”.

Obydwa są niezmiernie charakterystyczne dla mentalności polityków i publicystów z rdzennej Polski o zabarwieniu konserwatywnem, bezpartyjnym, umiarkowanym, słowem nie należących do obozu wojującego nacjonalizmu.

Obydwa artykuły cechuje niewątpliwa dobra wola, szczerze pragnienie położenia kresu obecnej waśni pomiędzy sąsiadującą ze sobą i posiadającą tyle wspólnych historycznych przeżyć narodami. A jednocześnie obaj autorzy grzeszą nieznaną istotą zatargu polsko-litewskiego i zbyt powierzchownem ujęciem zagadnienia.

Tacy panowie siedzą w Warszawie lub Krakowie i nie mają pojęcia o tem, co się dzieje na t. zw. Kresach. Gdyby dr. Bobrzyński pofatygował się do nas i zapoznał się ze stosunkami miejscowymi, to napewno zmieniłby swe zdanie i zawahałby się przed wygłoszeniem twierdzenia, że „imperjalizm nie jest wrodzoną cechą polskiego charakteru, a jeżeli istnieją u nas nacjonaści, to większość społeczeństwa uważa ten kierunek za zły, szkodliwy”. „Pielęgnując własny język i kulturę — utrzymuje dr. Bobrzyński — nie odnosimy się jednak z żadną niechęcią do obcego języka nawet wówczas, gdy używają go stale obywatele państwa polskiego”. Wierzymy chętnie, że tak myślą i czują ludzie, zgrupowani w „Związku Przyjaciół Litwy”, ale nie oni przecież reprezentują przeciętną opinię polską. Wyrazicielem jej jest krakowski „I. K. C.”, a czyż można twierdzić, że pismu temu obce są tendencje imperjalistyczne i nacjonalistyczne? Olbrzymia zaś większość działaczy polskich we wszystkich dziedzinach naszego tu życia rekrutuje się właśnie z czytelników i zwolenników kurjerka krakowskiego.

O stosunku inteligencji polskiej do ludności litewskiej pisał niedawno bardzo wymownie jakiś anonimowy korespondent „Kurjera Wil.” co następuje:

+ Ludność niemiecka w dawnym Wilnie.

I.

J. I. Kraszewski w swej czterotomowej monografji Wilna mówi, że w czasach Jagielly rękodzielnicy wileńscy byli wszyscy obcego pochodzenia, prawie bez wyjątku z Niemiec. Mimo długotrwałych wojen między Litwą a Zakonem, istniały w obu stolicach W. Księstwa, Wilnie i Trokach, osiedla niemieckie już długo przed Jagiellą. Jeszcze bardziej wzrosły one liczebnie dzięki hanzeatyckim kupcom wędrownym, którzy *via* Gdańsk, Toruń, Królewiec i Rygę co rok przybywali do Wilna i spędzali tu szereg miesięcy. Niemiecki mieszczański z Wilna, nazwiskiem Hennicke, należał do najwybitniejszych pełnomocników i dyplomatów Jagielly, skoro ten wysyłał go do Polski i Węgier dla pertraktacji o rękę Jadwigi.

Ze względu na pożytek kultury kraju rodzimego i zwiększenie dochodów wielkoksiażących, Jagiełło umiał przezwyciężyć swą niechęć do Niemców

i swoim miastom (dotychczas będącym raczej grodami) udzielił prawa magdeburskiego. Nasamprzód w Litwie oczywiście Wilnu 22.III.1387, potem innym. Wiązało się to najściślej z losem i znaczeniem miejskich osiedli niemieckich, a to dlatego, że właściwie Niemcy umieli wprowadzić u nas nadane prawo magdeburskie w życie. Przygotowani wszak byli do tego teoretycznie i praktycznie przez poprzedni swój pobyt w rodzinnych Niemczech. Ludność autochtoniczna Litwy wręcz była nieprzygotowana do zorganizowania rychło urzędu wójtowskiego, rady miejskiej i sądu grodzkiego, tych trzech podwalin prawa magdeburskiego.

Przyobiecane i wreszcie dane Wilnu prawo magdeburskie nie było u nas w całości wprowadzone, rysem bowiem jego zasadniczym była najszersza samodzielność zarządu miejskiego, tymczasem Jagiełło umyślił władzę sądową zatrzymać przy urzędzie starościńskim. Jeden z ostatnich wileńskich burmistrzów z doby przedrozbiorowej, Piotr Dubiński wydał w r. 1788 *Zbiór praw i przywilejów miasta Wilna*, gdzie zebrał odnośne dokumenty. Wystawio-

„Większość z nas, którzy w taki, czy inny sposób stykają z Litwinami, nie wyrobiło właściwego podejścia do ludu litewskiego. Nie umiemy (a może niektórzy tego nie chcą) rozwiązywać spraw litewskich tak, jak tego wymaga dobro państwa polskiego. Gdy zastanawiam się nad tem zjawiskiem i szukam przyczyn, widzę jedną najważniejszą — brak serca z naszej strony. Idziemy do nich z poczuciem wyższości rasowej, kulturalnej, z poczuciem władzy nad nimi, jak dawny pan szlachcic do swego poddanego — chłopca. A czasy są demokratyczne“.

Otóż to właśnie. Ten stosunek lekceważąco-pogardliwy inteligenta polskiego (a jeszcze bardziej półinteligenta) do ludu litewskiego, a nawet do całego narodu litewskiego, do jego języka, kultury i państwowości, jest niezmiennie rozpowszechniony nie tylko tam, gdzie polskość styka się z litewszczyzną, ale i w stronach odległych, gdzie o Litwie wie się tylko to, co o niej pisze prasa brukowa. Dlatego zapewnienie dr. A. Zawadzkiego, że „poważna opinia w Polsce nie przybierała nigdy wobec Litwy pozy „wielkiego“ narodu i nigdy nie używała w stosunku do Litwy protekcyjnego tonu“ — należy złożyć znów na karb zarozumiałości czy naiwności autora, wierzącego zapewne, że on i szczupłe grono jego przyjaciół politycznych reprezentują społeczeństwo polskie.

Już te dwa przykłady rzucają dostateczne światło na kompetencję czołowych publicystów „Związku Przyjaciół Litwy“. Możliwy im wybaczyć ostatecznie skłonność do idealizacji strony polskiej, wypływającą z ich nieco arystokratycznego odosobnienia i wrodzonego, czy może sztucznie zaszczepionego optymizmu, gdyby wywody ich na innych punktach odznaczały się trafnością i głębokością sądu.

Niestety obaj autorowie na każdym kroku zdradzają obok nieznanomości faktycznego stanu rzeczy w równym stopniu fatalny brak kompetencji do roli rzeczników zgody polsko-litewskiej, której kardynalnym warunkiem jest uregulowanie sporu terytorjalnego. Tymczasem kwestja Wilna i Wileńszczyzny, która od 15 lat stanowi w stosunkach między Polską a Litwą przeszkodę nie do przezwyciężenia, dla dr. Bobrzyńskiego i dr. Zawadzkiego jest fikcją i pretekstem jedynie.

Pisze bowiem dr. Zawadzki wyraźnie: „Gdy po tej stronie słupów granicznych gubimy się nieraz w domysłach co do powodów wrogiego ustosunkowania się Litwy ku Polsce i przychodzi nam na myśl także Wileńszczyzna, to po rozważeniu wykluczamy, aby mogła ona stanowić „niezagojoną i krwawiącą ranę“ Litwy oraz istotę awersji do Polski i polskości. Wiele natomiast przejawów zdaje się wskazywać na to, że t. zw. w Litwie „kwestja wileńska“ jest jedynie quasi dymową zasłoną, niezbędną pewnemu odłamowi Litwinów dla pokrycia pod formą rzekomych pretensyj terytorjalnych jakichś innych, może nie tyle tajemniczych, ile *niezrozumiałych* celów swej szkodliwej dla bytu odrodzonej Litwy akcji antypolskiej“.

Po dłuższych rozważaniach na temat bezpodstawności roszczeń litewskich do Wilna, dr. Zawadzki konkluduje stanowczo i apodyktycznie „Niema więc, bo być nie może jakiegokolwiek „kwestji wileńskiej!“.

Gdyby dr. Zawadzki powołany został na superarbitra w zatargu polsko-litewskim, to powyższe jego orzeczenie bezwzględnie rozstrzygnęłoby długoletni spór i zmusiłoby Litwę do pogodzenia się z istniejącym stanem rzeczy. Cała bieda polega na tem, że dr. Zawadzki przemawia w imieniu jednej tylko strony, a ta druga bynajmniej nie chce takiemu wyrokowi się poddać. Chociaż dr. Zawadzki nie uznaje istnienia kwestji wileńskiej, chociaż uważa ją za „zaslonę dymową“, za którą kryją się jakieś niezrozumiałe dlań cele, jednakże faktem jest, że cała opinja litewska na punkcie Wilna wykazuje niewątpliwą solidarność, i żaden rząd w Kownie nie odważyłby się przejść nad tem zagadnieniem do porządku dziennego pod groźbą całkowitej utraty popularności i oparcia w społeczeństwie. Inna rzecz, że istnieją w Litwie rozmaite koncepcje rozwiązania tego problemu narodowego: gdy jedni zajmują stanowisko nieprzejednane i żądają zwrotu Wileńszczyzny zgodnie z umową Suwalską, inni się skłaniają do załatwienia kompromisowego. Ale śmiało można powiedzieć, że niema uświadomionego Litwina, któremu by losy Wilna były obojętne.

„Związek Przyjaciół Litwy“ tedy, nie licząc się z tą psychiką społeczeństwa litewskiego i doszukując się jakichś ukrytych, niezrozumiałych (!) celów

ny Wilnu dokument obdarzał nowemi prawami nie tylko Niemców wileńskich, lecz też autochtonów — Litwinów i Białorusinów — Polacy wówczas byli w Wilnie jeszcze bardzo nieliczni. Inne jeszcze ograniczenia narzucił nowemu prawodawstwu Jagiełło, raz z powodu pierwotności i nieprzygotowania ówczesnego Wilna do przyjęcia rychło obcej a skomplikowanej procedury, powtóre niechcąc całkiem wypuścić z rąk władzy nad stolicą. Pełne częstych wojen czasy tamte narzuciły miastom także charakterystyczną klauzulę, nakazującą mieszczanom rozbudowywać i strzec wielkoksiażące zamki, o ile samo miasto jeszcze nie było murem obwarowane.

Jednak w miarę wzrostu miast i razem znaczenia mieszczan, znikły te zastrzeżenia i ograniczenia samorządu ówczesnego. Trudno dziś w pełni odtworzyć dzieje tych, powstałych na zasadzie umów w. księcia z miastem, zmian prawnych, pozostaje tylko wysnuwać wnioski z faktów historycznych. Archiwum akt najdawniejszych w Wilnie specjalnie znajdowało się pod nieszczęśliwą gwiazdą, niszczycielski bowiem impet inwazji moskiewskiej w r. 1655

rzucił na pastwę ognia najcenniejsze dokumenty dawnych czasów, któreby rozświetliły dziś należycie liczebność i rolę obywateli niemieckich m. Wilna. W każdym razie w r. 1432 widzimy w Wilnie wójta: znak nieomyślny, że jednak udało się miastu wyzwolić się z pod władzy sądowniczej starosty wielkoksiażczego. Właściwość niemieckiego prawodawstwa uwydatniała się w Wilnie w całości w prostym stosunku do roli obywateli niemieckich. Wieki XV i XVI w Wilnie były dla nich okresem, gdy niemieckość wileńska stała u szczytu swej mocy i brała nader czynny udział w polityce miejskiej. Lecz z wyjątkiem niektórych zapisów, wszystkie akty i księgi grodzkie rady m. Wilna zginęły bezpowrotnie. Niemniej żal papierów wileńskich gield i cechów, które szczególnie byłyby ważne dla historii gminy niemieckiej. Zaledwie nieliczne starsze przywileje cechowe i sprzęt cechowy przetrwały najście Moskali i ocalały w późniejszych fascykulach akt magistrackich lub „magdeburskiego sądu“, jako odpisy i załączniki. Nowy pożar archiwum miejskiego w Wilnie 18.V.1706 mógł tylko powiększyć dzieło zniszczenia. Dlatego brak

w tak prostym i naturalnym dążeniu, zgóry skazuje siebie na działalność bezpłodną i bezcelową, o ile chodzi mu o zbliżenie pomiędzy Polakami i Litwinami, jak to przewiduje jego statut.

Wprawdzie obaj wspomniani autorzy z naciskiem podkreślają, że Związek pracuje dla przyszłości i że nie zraża go żadne przykrości, któreby szowinistyczny litewski nacjonalizm mógł mu wyrządzić, niemniej jednak wydaje się nam, że przyszłość ta, o której myślą inicjatorzy Związku, nastąpi nieprędko, skoro nawet najbardziej umiarkowni, najmniej agresywnie usposobieni publicyści polscy nie umieją się zdobyć na trzeźwą ocenę sytuacji i łudzą siebie oraz swych czytelników nadzieją, że twardego, nieufnego, upartego Litwina uda się pociągnąć wyłącznie efektywnym frazesem o tolerancji i kurtuazji Polaków wobec obcych języków, kultur i obyczajów...

K. W.

Kolonizować Kresy!

Pozostawiając na stronie pytanie: w jakim stopniu prasa t.zw. prorządowa jest wyrazicielką intencji czynników rządzących—należy jednak stwierdzić, że pewien jej odłam (zwłaszcza po ostatniej rekonstrukcji rządu) zatępił pobudkę—„na lewo”. Wprawdzie, w obecnej sytuacji politycznej, jest anachronizmem używanie formułek z parlamentarnej gwary, ale mowa ludzka jest bardziej konserwatywna od szybko biegnących wypadków; to też i pojęcia: „na prawo”, „na lewo”—warunkowo rozumiane, są przyjęte w mowie potocznej i obecnie, chociażby jako przeciwstawność rozbieżnych, w stosunku do istniejącego stanu rzeczy, dążeń politycznych.

Istotę tego „zwrotu na lewo” charakteryzuje swoisty radykalizm haseł społecznych, które, jak się zdawało—w dobie niedawno jeszcze szeroko propagowanego „solidaryzmu”—zostały już zarzucone. A jednak—tak się wydaje—gdzieś w schowanym lamusie niepotrzebnych rupieci „chochoł” radykalizmu ludowego odżył i zaczyna straszyć wygodnie w gmachu B.B. ulokowanych „solidarystów”. Że naprawdę coś straszy, świadczy o tem pewien niepokój i iry-

tacja innego odłamu prasy sanacyjnej, reprezentującej „obóz” konserwatywny w B.B., jak również jubel prasy endeckiej, która, jako ten tertius gaudens, radaby pogłębić rozdziewki w zespole prorządowym. Wprawdzie heroldzi radykalizmu, w sensie lewicowo-ludowym, nie precyzują wyraźnie swoich dążeń, jednak hasło „stawki” na drobno rolnego chłopca, przy akompaniamencie tak popularnego wśród radykałów polskich „huzia na szlachcica”—daje pewien posmak intencji i zamierzeń.

Stosunki agrarne w Polsce nie ułożyły się prosto. Miejscami stworzyły one tragicznie splecione węzły, które trzeba albo potrafić rozwiązać, albo mieć odwagę rozciąć. Obecne czasy nie usposabiają ani do jednego, ani do drugiego sposobu rozstrzygania trudnych zagadnień agrarnych. Narazie radykalizm polski szuka wyjścia drogą dla siebie uproszczoną. Takim uproszczonym wyjściem z trudności agrarnych staje się, bardzo zresztą popularne w społeczeństwie polskim, hasło—kolonizacji „Kresów Wschodnich”. Wszak statystyka wymownymi cyframi wykazuje, że na tych „Kresach” jest tak dużo wolnej przestrzeni. Rozrzedzić więc zbyt zagęszczone tereny państwa—i zagęścić rzadko zaludnione „Kresy” polskim osadnikiem. Oto mądrość, która wydaje się być bezsprzeczną dla wielu polityków polskich. Jeśli jeszcze uwzględnić tak ponętny dla celów politycznych argument, że takie „zagęszczenie” wzmacnia polskość na obcoplemiennych „Kresach”—to czyż można poddawać w wątpliwość tę receptę?

Wszakże nie powstają inne jakieś skrupuły, bo przecież formalnie nie wchodzi w grę kwestie narodowościowe. Kwestję ziemi na „Kresach” ujmuje się ściśle „hipotecznie”, bowiem jest tu tyle polskiej ziemi, należącej do polskich obszarników, którzy sami wciąż wołają o potrzebie zachowania polskiego stanu posiadania na „Kresach”. Chyba że polski osadnik spełni nie gorzej rolę, niż to czynił przez wieki obszarnik? Więc parę tysięcy polskich żubrów przeniesie z „Kresów” do innych rezerwatów narodowych, a na ich miejsce przyjdą dziesiątki tysięcy osadników, polskich chłopów. Tak więc hasło: „Kolonizować Kresy”—nic nie staje na przeszkodzie.

Że projekty kolonizacji „Kresów Wschodnich” przez polskich osadników wchodzi w program poli-

Akt Wójtowskich o dużem, wprost pierwszorzędnem znaczeniu dla naszego tematu. Nie lepszy los miały też inne archiwa wileńskie, w tej liczbie kapitulne, które dwakroć (1590 i 1610) ucierpiało od ognia, zanim przyszło niebezpieczeństwo ze strony Moskwy. Pochodzący z Inflant, wileński kanonik katedralny Tyzenhauz wywiózł je do Prus, skąd po wielu błakaniach i ciężkich stratach wróciło znowu na miejsce. W r. 1748 przyszła powódź, potem jeszcze jeden pożar nawiedził archiwum kapitulne.

W królewieckim archiwum państwowem ocalały szczęśliwie spisy obywateli wileńskich z r. 1656, uprawniające nas do pewnych wniosków, jak np., że w w. XV. a jeszcze bardziej w XVI, członkami wileńskich cechów i gield byli przeważnie Niemcy. co zresztą stwierdza też wyżej Kraszewski. Tak więc wszystko, co stało w Wilnie na czele kupiectwa, co przewodziło rzemiosłom (złotnikom, puszkarzom, malarzom, murarzom, slusarzom, stolarzom, piekarzom, szewcom i w. in.), było niemieckie.

Ile było w dawnych wiekach ducha niemieckiego w Wilnie, świadczą jego gotycko-niemieckie

budowle ceglane, W tej dziedzinie prawie wszystko zostało stworzone ręką niemiecką (budowniczymajstrów). Burze dziejowe wyrządziły Wilnu moc szkód niepowetowanych, częste pożary i późniejsze przeróbki kontynuowały niszczenie tej patyny starodawnej, jednak pozostałe resztki świątyń średniowiecznych i stare domy mieszkalne dziś jeszcze wymownie świadczą o wielkiej aktywności niemieckiego mieszczaństwa w średniowiecznym Wilnie. Mówią o tem nam kościoły św. Mikołaja, Franciszkański, Bernardyński, św. Anny... Gotyckimi też pierwotnie były katedra, św. Jan, nawet cerkiew pod wezw. Przeniesienia relikwii św. Mikołaja, Zapewne też dawny przedguczewiczowski ratusz, szpital niemiecki, dom gościnny.

Niemieckie średniowiecze przemawia z tych wszystkich budowli. Tu pracowali mistrze, tu sztuka niemiecka i artystyczny zmysł niemiecki podały sobie ręce do wspólnych a ambitnych wyczynów, tu wszczepiał się w etnicznie obcy grunt sentyment niemiecki. dając z siebie wiele, lecz też wyzbywając się sztywności i oschłości dawnych budowli Królewca i Malbor-

tyków sanacyjnych, ciągnących na lewo—świadczą mogą, wydrukowane latem b. r. w „Kurjerze Porannym”: „Postulaty i potrzeby drobnego rolnictwa”. Jest to skrót programu Polskiego Stronnictwa Rolniczego, reprezentującego, jak wiadomo, w B.B.W.R. ideologię radykalizmu ludowego.

We wspomnianych „Postulatach” znajduje się ustęp, pod tytułem „Akcja kolonizacyjna”, tej treści:

„Fundusze obrotowe reformy rolnej winny czasowo, t. j. aż do skutecznego przeprowadzenia akcji walki z kryzysem służyć wyłącznie poparciu akcji kolonizacyjnej ziem wschodnich i kresów zachodnich. Równolegle z tem uważamy za konieczne wszczęcie energicznej i planowej akcji przesiedlenia ludności wiejskiej z najgęściej zaludnionych terenów południowo-zachodnich Rzplitej na wschód. Stwarzanym w drodze kolonizacji gospodarstwom należałoby nadać formę niepozbywalnych włości rentownych.

Sądźmy, że Fundusz Pracy również winien kwoty przeznaczone na walkę z bezrobociem wiejskim, a częściowo też przeznaczone na pomoc dla bezrobotnych miejskich, zużywać przede wszystkim na przesiedlanie rzemieślników, kupców i bezrobotnych inteligentów do ośrodków stwarzanych w drodze dla nowej kolonizacji ziem wschodnich. Od tej kolejności pierwszeństwa należałoby jednak wyłączyć tereny klęskowe, wymagające doraźnej pomocy”.

Tendencje kolonizacyjne, jako przejaw polskiej myśli politycznej, nie są nowe. Dawniej jednak pozostawiało się to formalnie „prywatnej inicjatywie” i (poza osadnictwem wojskowym) nie włączało się tej akcji do czynności rządowych. Ludowcy dawnego autoramentu (z wyłączeniem „Piasta”) mieli pewne skrupuły narodowościowe, do czego zaobowiązywała demokracja. Jak widać z przytoczonej cytaty z „Kur. Por.”, sanacyjni „ludowcy” tych skrupułów już nie mają, gdyż żądają kolonizacji „Kresów” kosztem funduszy państwowych.

Że „Kurjer Poranny”, organ lewego, radykalnego odłamu B.B.W.R. jest wyrazicielem programu kolonizacji „Kresów Wschodnich” (w tym organie mówi się: Ziemi Wschodnich)—temu nie należy się dziwić, gdyż żyjemy w czasach, w których dawne „demokratyczne” skrupuły nie obowiązują. Ale nieco zdziwić się wypada temu, że w „Słowie” wileń-

skim o kolonizacji „Kresów” też się mówi programowo. Czyżby dla wyższej racji poświęciło „Słowo” dziedziców kresowych? A może interes konkurencyjny tego wymaga? „Kurjer Wileński” jeszcze się w tej sprawie się nie wypowiedział.

Rek.

B. Ch. D. przed reorganizacją.

„Białoruskaja Krynica” z n. 7.X. b.r. w obszernym artykule wstępnym informuje swoich czytelników o mających się dokonać poważnych zmianach w łonie BChD. Jak wynika z wywodów tego organu, Białoruska Demokracja Chrześcijańska nie odstępuje od swego zasadniczego stanowiska, to znaczy światopogląd chrześcijański, zasada demokratyzmu i stosunek do własności prywatnej pozostają niezachwiane, mimoto „te nienaruszone podstawy—jak pisze „Krynica”—w wielu wypadkach drugorzędnych powinny ulec zmianie, odnowieniu i dostosowaniu do żywych potrzeb bieżących białoruskiego narodu”.

Pierwszem zagadnieniem jest przede wszystkim zmiana nazwy partii. Dotychczasowa nazwa oraz poszczególne postulaty programowe, zdaniem autora artykułu, upoważniają, szczególnie w naszych warunkach, do poczytywania tej organizacji za oficjalną przedstawicielkę Kościoła lub Cerkwi.

Pozatem Kościół i Cerkiew znajdują się w pętach nacjonalizmu rosyjskiego i polskiego. Wyzwolić je z tych pęt, dać wolny dostęp do chrześcijaństwa—oto nowe zadania. Stąd odnowiony program BChD ma ograniczyć się jedynie do podkreślenia, że uznając wolność każdej religii, uważa za konieczne wychowanie narodowe opręć przede wszystkim na chrześcijańskiej nauce i etyce.

Zagadnieniem drugim w projektowanej reformie BChD, jest stosunek do demokracji. I tu na pozór nie dąży się do radykalnej zmiany: mają być zachowane dodatnie strony demokratyzmu z jego pięcioprzymiotnikowymi wyborami, ale ma się negatywnie ustosunkować do partyjnictwa i praktyk parlamentarnych, wpływających z przypadkowej większości i wytwarzających pole do nadużyć, poli-

ga. Kraj mgieł i lasów nieznacznie a powoli nakazał sobie posłuch.

Ważnym czynnikiem dla niemieckości w Wilnie było, że w w. XVI stosunki między Litwą a Księstwem Pruskim stały się bardziej ściśle a przyjazne. Reformacja, która w pewnej chwili świeciła na Litwie swój (pozbawiony trwalszych fundamentów) triumf, przyczyniła się do nawiązania licznych z jednej i z drugiej strony stosunków. Prawie wszyscy litewscy książęta, co opowiedzieli się za Lutrem, studjowali na założonym przez księcia Albrechta w Królewcu uniwersytecie lub na innych uniwersytetach niemieckich, zwłaszcza w Wittenbergu. Mieszczanstwo wileńskie, wysyłało tłumnie swych synów do Królewca. Ci akademicy królewieccy, zaprzyjaźnieni z niektórymi kolegami *nationis germanae* (bądź rodem z Prus, bądź z Cesarstwa), przywozili ich z sobą do kraju, który wcale nie był przeludniony i nadmiaru inteligencji napewno nie odczuwał. Wśród tych przybyszów byli trudniący się rzemiosłem, którzy jednak w ojczyźnie swej do cechu lub giełdy należeć nie chcieli czy nie mogli, natomiast pragnęli

szukać lepszej doli na obczyźnie i wędrowali z tą nadzieją *nach Osten*. Książę Pruski Albrecht (1525—1568) często odwiedzał z licznym orszakiem Wilno. Był on przecież lennikiem polskim. Zygmunt Stary był jego wujem, a z Zygmuntem Augustem Albrecht był nie tylko skuzynowany, lecz ściśle zaprzyjaźniony. O podróżach księcia na dwór wileński mówił cały kraj. Nie mogło to nie zachęcać Niemców z Prus lub Cesarstwa, nawet zdala, do przedsięwzięcia podróży do stolicy Litwy z zamiarem szukania tu szczęścia. Kto nie doznał w tem zawodu, osiadał zwykle nad Wilją na stałe.

Nazwiska, które niżej przytoczymy, pochodzą przeważnie z królewskich listów polecających do księcia Prus, jakie otrzymywali dla załatwienia spraw osobistych w Księstwie, wileńscy obywatele narodowości niemieckiej. Kto tych spraw z Prusami nie miał, nie przekazał tą drogą swego nazwiska potomności. Napewno lista poleconych przez króla Niemców wileńskich mogłaby zostać uzupełniona drogą badań po innych miastach, przede wszystkim w Gdańsku. Więc jakkolwiek liczne są te nazwiska

tykierstwa i majoryzowania niezorganizowanych ugrupowań społecznych.

By uniknąć tych niepożądanych zjawisk, odno wiona BChD ma dążyć do syntezy demokratyzmu z korporatyzmem, innymi słowy połączyć te dwa systemy nie pomniejszając dodatnich stron demokratyzmu.

Trzeciem zagadnieniem zasadniczym jest projektowany stosunek BChD do własności prywatnej. I tu zachowane ma być poszanowanie w zasadzie tej własności, jako prawa naturalnego. Jednak wypowiada się bezwzględna walkę kapitalizmowi. Podobny zresztą stosunek cechuje i dotychczasowe stanowisko BChD. „Kapitał—czytamy—czy to będzie ziemia czy fabryki, lub bank—musi mieć przede wszystkim charakter społeczny, t. zn. ziemia musi być podzielona pomiędzy małorolnymi i bezrolnymi chłopami, robotnicy muszą być dopuszczeni do udziału w dochodach i t. d.”

Ponieważ w końcu artykułu autor zachęca czytelników do wypowiedzenia się w sprawie powyższej—należy traktować te nowe postulaty za ledwie jako materiał dyskusyjny. W jakim duchu wypowiedzą się czytelnicy? I czy będą się wypowiadali?

Reforma w BChD aktualną jest już nie od dzisiaj. Przytoczone w „Krynicy” argumenty wydają się być w wielkiej mierze słuszne. Są one jednak zbyt może uproszczone i bardzo niekompletne. Nasuwają się przede wszystkim uwagi następujące.

Białoruska Demokracja Chrześcijańska jest, jak wiadomo, najstarszym z istniejących ugrupowań politycznych i odznacza się spistością wewnętrzną. Zdawałoby się, że w tych warunkach niema tak dużo przeszkód na drodze do jej normalnego rozwoju. Tymczasem daje się zaobserwować pewien zastój. Przyczyn po temu jest wiele, na czoło jednak wysuwa się „anathema” arc. Jałbrzykowskiego, która chociaż z jednej strony zradikalizowała nastroje członków i spotęgowała ich opozycyjność, to jednak z drugiej strony odstraszała wpływając na jednostki szeregowie, które teroru endeckiego kleru nie mogły wytrzymać i wołały zrezygnować z należenia do partii i czytania jej organu. Co ważniejsze, od oficjalnego kierownictwa w partii musieli odejść

księża Białorusini, którzy w ruchu białoruskim przedstawiają element najbardziej stały, skonsolidowany i poważny.

Nie był to jedyny kamień na drodze rozwojowej BChD. Inne białoruskie ugrupowania polityczne, a szczególnie najsilniejsze z nich komunistyczne, w swoim czasie robiły, co mogły, by przedstawić BChD jako stronnictwo reakcyjne. Sama nazwa partii niezmiennie ułatwiała tę robotę.

Wystarczyło porównać ją z innymi stronnictwami o podobnych nazwach. Chociaż akcja ta nie miała całkowitego powodzenia, to jednak z biegiem czasu wśród większości inteligencji białoruskiej utrwaliło się przeświadczenie, że jednak Kościół i Cerkiew odegrały w życiu Białorusinów rolę godną pożałowania. Stąd płynie nieufność do wszelkich poczyniń pod sztandarem wyznaniowym.

I z tych również względów BChD w interesie własnym powinna zrezygnować ze swej nazwy. Nie jest rzeczą ważną o jakiej republice białoruskiej będzie mowa w programie, drugorzędną sprawą jest stosunek do korporatyzmu. Rzeczywistość przekonała nas, jak nietrwałe są dogmaty społeczno-polityczne. Walka o „pryncypia”, kłótnia dokoła zagadnień ustrojowych, to pięta Achillesowa narodów podbitych. Jest to ich chroniczna słabość, podsycanie której może przynieść tylko szkodę.

Z tego wniosek: Białorusinom jest potrzebne jedno stronnictwo silne, któreby mogło ująć w swe ręce lejce życia narodowego. Dla uniknięcia nieporozumień nie może przyjmować żadnej z nazw niegdyś lub dziś istniejących. Jaknajmniej powinno mówić w programie o rzeczach dalekich i spornych. Konsolidacja jedności narodowej, pielegnowanie patriotyzmu—to najważniejsze. Reszta sama się wyłoni na widownię życia, gdy przyjdzie czas.

Białoruska Demokracja Chrześcijańska, z racji swojej reorganizacji, ma wdzięczną rolę do wypełnienia. Z przeobrażonej chadecji może powstać stronnictwo, które potrafi zająć vacuum pozostałe po rozbięciu „Hramady”. Sporo odosobnionych jednostek mogłoby współpracować z niem bez obawy, że wysługuje się „reakcji” lub „klerikalizmowi”.

Alhoruthenus.

niemieckie, nie mogą jeszcze one dać pojęcia prawdziwego o liczebności gminy niemieckiej w Wilnie, którą niewątpliwie trzeba byłoby jeszcze uzupełnić *in plus*.

Jednym z pierwszych poznanych w ten sposób obywateli niemieckich Wilna jest Grzegorz Grebel, figurujący w r. 1527. W r. 1540 król Zygmunt prosi księcia Pruskiego, by pozwolił będącemu na królewskiej rocznej pensji swemu chirurgowi Rupertowi Gocklerowi z Rorbachu odwiedzić, choć raz na rok, Wilno. W r. 1551 jeździł do Królewca, do bliskich krewnych, Mikołaj Czech z Wilna. Do najbardziej znanych wówczas osobistości niemieckiej gminy w Wilnie należał Wawrzyniec (Lorenz) Frenzel, agent lub, jak wtedy mawiano faktor, wielkich niemieckich towarzystw handlowych. Niemiec Leonard Fhrenk nosił w tymże czasie w Wilnie tytuł królewskiego nadwornego zegarmistrza. W roku 1563 zjawia się w Wilnie mianujący się królewskim sługą i obywatelem *von Wilna* niejaki Michał Preusz, żonaty z wdową *Stephans Kuchels*, który też należał do osiadłych w Wilnie mieszczan.

Tak przy wznoszeniu zamku starego na wileńskiej górze Zamkowej, jak też przy stawianiu nowego zamku dolnego, szczególnie podczas rozbudowy tego za Zygmunta I i jego synów, którzy chętnie w Wilnie przebywali, pracowali Niemcy budowniczy, murarze, cieśle, malarze i in. Współdziałali oni ze swej strony z artystami włoskimi nad odejściem architektury krajowej od późnego gotyku do Odrodzenia z jego nowymi kierunkami w dziedzinie sztuki i formy. Książę Albrecht, który sam był na dużą skalę budowniczym, chętnie zaoferował swe usługi i pośrednictwo swemu wujowi i kuzynowi. Niestety, dotychczas tylko nieliczne nazwiska tych artystów są nam znane. Takim np. był niemiecki malarz Stanisław Ratke z Poznania, ogromnie już wtedy zniemczony. Wspomina go I. J. Kraszewski, mówiąc o budowie starego zamku królewskiego w Wilnie. Według Brauna i Hogenberga, a również malarza Smuglewicza i dawnych znaków kamieniarskich, zamek dolny w końcu przybrał formy renesansowe. Zrujnowany podczas najścia Moskwy w r. 1655, znikł całkiem z powierzchni w r. 1800,

Z mego notatnika.

Habemus papam!

W piątek 12 b. m. rano obwieścili Wilnu i całemu światu (urbi et orbi) radosną nowinę o wyborze dr. W. Maleszewskiego na prezydenta m. Wilna oba nasze dzienniki sanacyjne: „Słowo” z entuzjazmem i „Kurjer Wil.” z pewną rezerwą. Nic dziwnego. Powszechnie wiadomo, że „Kurjer Wil.” niezbyt przychylnie był usposobiony do kandydatury dr. Maleszewskiego. Ale Warszawa rzekła swoje decydujące słowo i karny zastęp „demokratów” z pod znaku BB volens nolens posłusznie oddał swe głosy na rzecz wskazanego mu kandydata.

Nie rozumiem ani zachwytów „Słowa” ani kwaśnej miny „Kurjera Wil.”. Na dotychczasowym stanowisku Tymczasowego Prezydenta Miasta z nominacji dr. Maleszewski, zdaje się, niczem nie zaznaczył, że jest wielbicielem Wil. Banku Ziemskiego, jak również niczem nie zdradził swej awersji do Legionu Młodych. Zbyt był zajęty wycinaniem drzew na placu Orzeszkowej, aby miał czas i możliwość zastanawiania się nad prądami, nurtującymi w łonie wileńskiej sanacji i opowiadania się po tej lub tamtej stronie. Ale któż zbadał Bloku Bezpartyjnego przepastne krainy? Znamy go tylko po wierzchu, znamy jego oblicze, lecz obce nam są jego wewnętrzne serca tajemnice. Dajmy przeto spokój dociekaniom; tej zagadki nie rozwiążemy.

Nie ustalimy również tego, czyją jest zasługa uporządkowanie finansów miasta: komisarycznego prezydenta, którym był dr. Maleszewski, jak utrzymuje „Słowo”, czy też delegata finansowego Rządu przy Zarządzie Miejskim, którym był p. Adam Piłsudski, jak twierdzi „Kurjer Wileński”. A może obu razem? Ponieważ p. Adam Piłsudski został obecnie wybrany jednym z wice-prezydentów m. Wilna, wypada tylko cieszyć się, że współpraca obu tak zasłużonych mężów będzie trwała nadal.

Niewątpliwie część tej zasługi spada również na referenta budżetowego magistratu, którym był p. Teodor Nagurski. Słusznie też mu się należał wybór na drugiego wice prezydenta. Czy i ile przy tem zważył wzgląd na piastowane przez kandydata godności wice-prezesa wileńskiego związku Peowia

ków oraz prezesa klubu „Włóczęgów”—nie podejmuje się rozstrzygać.

Że tego rodzaju kwalifikacje nie są bez znaczenia—dowodem wybór na trzeciego wice prezydenta p. Kazimierza Grodzickiego, rodem ze Stanisławowa, który jest całkiem *homo novus* na terenie Wilna. Ale z życiorysu, zamieszczonego w „Kurjerze Wil.”, dowiadujemy się, że p. Grodzicki należy do Związku Strzeleckiego, do Związku Rezerwistów, do Związku Osadników i do BBWR. Oczywiście tak wszechstronna działalność nie mogła pozostać bez nagrody. Jeżeli mu ofiarowano ją w postaci stanowiska wice-prezydenta m. Wilna, to zapewne należy przypisać tej okoliczności, że spośród rdzennych wilnian trudno było znaleźć odpowiedniego kandydata. Rdzenni Wilnianie bowiem mają tę wadę, że z natury rzeczy nie mogą być we własnym kraju osadnikami.

Natomiast dla przedsiębiorczych wilnian jest otwarta droga do godności burmistrza Stanisławowa..

Tasowanie ludności.

Dążenie do przetasowywania dzielnicowego obejmuje nie tylko jednostki czołowe, odegrywające pewną rolę w życiu społecznym, ale i całe gromady ludzkie. Znajdujemy w ostatnim numerze „Przeglądu Gospodarczego Ziem Północno-Wschodnich” następującą notatkę:

„Jak wiadomo (*dla nas to jest nowina!* L), T-wo Rozwoju Ziem Wschodnich, celem przyścia z pomocą najbardziej biednej ludności Wileńszczyzny, wpadło na b. dobry pomysł zorganizowania kolonii dla dzieci z różnych powiatów woj. wileńskiego. W wyniku tej uchwały 200 dzieci z Wileńszczyzny ulokowano w specjalnie zorganizowanych kolonjach (w dworach) pod Skierniewicami i w Nowym Targu. Ulokowanych (*sic!*) dzieci otoczono bardzo staranną opieką, otrzymały one dobre wyżywienie, nowe ubrania, czystą pościel, zorganizowano cdczyty oraz pogadanki kulturalno-oświatowe, zabawy i t. d., słowem głodomory z Wilna poraz pierwszy w życiu odczuli dobrodziejstwa cywilizacji...”

Z dalszego ciągu notatki dowiadujemy się, że dzieci te zaczęły chorować, ponieważ żołądek ich nie był przyzwyczajony do pokarmów mięsnych. Nie słyszałem, co prawda, aby wegetarianie choro-

gdy panoszącemu się w Wilnie gucewiczowskiemu pseudo klasycyzmowi towarzyszył zupełny zanik pietyzmu dla dzieł, które się zrodziły z ducha wielkich stylów, jak gotyk i renesans.

W r. 1615 piastował urząd wielkksiążęcego architekta Piotr Kaunhart, który sprowadził do Wilna wielu niemieckich artystów i rękodzielników, dla wykończenia zamku miejskiego. Obrazy miast Brauna i Hogenberga z r. 1576 podają widok z zamku miejskiego w Wilnie nazwany *Deutsche Haus*, który swem istnieniem i rozmiarami wskazuje i znowu przypomina, jak liczni byli na służbie u ostatnich Jagiellończyków niemieccy słudzy i dworzanie. Również rozpoczęta w r. 1505 i prowadzona długie lat dziesiątki budowa fortyfikacji miejskich zatrudniła niemieckich majstrów i murarzy. Zbyt nieznaczne pozostałe do dziś szczątki tych murów i bram nie mogą nam doć pojęcia właściwego o poziomie kunsztu murarskiego i wielkości włożonej tu pracy, których potomność też ocenić i uszanować nie umiała. Znamy więc te mury jedynie ze sztychów Smuglewicza. Pewne szczegóły obwarowań mówią o wło-

skich wzorach, inne znowu, jak np. baszty na murze, wieżycy obronne i niektóre wrota, zdradzają przeciwnie wpływy murów obronnych Norymbergi i barbakanu krakowskiego.

Niemieccy kapitanowie zapewne w charakterze instruktorów, wraz z jeźdźcami i landsknechtami, gisery, puszkarze i muzykanci—by tylko kilku przedstawicieli ówczesnego przemysłu wojennego wymienić—musieli być regularnie dosyłani przez księcia Albrechta wujowi do Wilna. Tak znajdujemy tu puszkarza Jerzego Gerlicha ze Szmalkolda, kotlarza i rusznikarza Mikołaja Gottszalka, dozorcę zbrojowni i architekta Hioba Brejtfusa i... lutnistę Hansa Thimme, wszystkich w piątym i szóstym dziesięcioleciu w. XVI, jako nowoprzybyłych do Wilna. Tak było przez całe panowanie ostatniego Jagiellona. Oto jeszcze w r. 1571 Zygmunt August wzywa znowu z Drezna Niemca, Tomasza Döringa i mianuje kierownikiem zbrojowni. Niezbędne dla odlewania kul i innej broni artyleryjskiej materiały i metale były niemal stale sprowadzane od niemieckich kupców z Krakowa.

wali po spożyciu normalnego obiadu, o ile mięso jest świeże i dobrze przyrządzone, ale nie mam zamiaru kwestjonować wiarygodności powyższej informacji. Możliwe, że „dobrodziejstwa cywilizacji” dzieciom wileńskim, żywiącym się wyłącznie niemal *bulbą* i burakami, nie poszły na zdrowie.

Nasuwa się jednak pytanie, w jakim celu przetransportowano ową dziatwę tak daleko od stron rodzinnych? Żeby je nakarmić mięsem i przyodziać w nowe ubrania? Ależ o wiele łatwiej i taniej można było to uczynić na miejscu! Jeżeli dzieci będą wciąż chorowały i nie potrafią się oswoić z obcym środowiskiem, to zamiast dobrodziejstwa wyrządzi się im krzywdę, jeżeli zaś przystosują się do nowych warunków i zasmakują w mięsnych potrawach i czystej pościeli, to po powrocie do domu będą się czuły o wiele gorzej, niż przed wyjazdem. Pobyt w kolonjach skierniewickich tylko je wykolei.

Nie posądzam inicjatorów tej imprezy o taką perwersję, aby im chodziło o wzbudzenie w duszach przygodnych swych pupiłków uczuć pogardy względem rodzinnej chaty i wioski. A jednak rezultat ten będzie nieunikniony, gdy dzieci zakosztują „dobrodziejstw cywilizacji” i będą porównywały komfort, otaczający je w dalekich kolonjach z nędzą domową. Sztuczna egzystencja pod opieką „T-wa Rozwoju Ziemi Wschodnich” zaszczerpi im fałszywe wyobrażenie o wyższości pod każdym względem Mazowsza czy Małopolski nad rodzinną Wileńszczyzną. Jakąż z tego korzyść osiągną „Ziemi Wschodnie”, których rozwój rzekomo leży na sercu wspomnianemu Towarzystwu? Przybędzie paruset malkontentów, zbłądniętych powierzchownym zapoznaniem się z warunkami życia w rdzennej Polsce. Czy nie byłoby bardziej pedagogicznie zeknąć te dzieci z zapadłych wiosek wileńskich z proletariatem w Łodzi i Zagłębiu Dąbrowskim? Przekonałyby się przynajmniej, że ich los nie jest wyjątkowy, że nędzy nigdzie nie brak.

A najlepiej byłoby pozostawić je na miejscu i przyjść z pomocą biednej ludności włościańskiej, zakładając ochrony lub organizując dożywianie dziatwy w szkołach powszechnych. Ale wtedy T-wo Rozwoju Ziemi Wschodnich rozminęłoby się ze swym zadaniem tasowania ludności niby kart.

Licz.

Na kierownicze stanowiska m. Wilna wybili się i jego elitę stanowili w w. XVI urodzony w marchii Badeńskiej, w Pforzheimie, Ulrych Hozjusz (nazwisko to od herbu Hosen = spodnie), od r. 1512 kierownik wielkoksiażęcej mennicy w Wilnie, i jego starszy syn Jan, rządcą zamku wileńskiego, nieco później niemiecką godnie reprezentowali w Wilnie radny i burmistrz wileński Augustyn Morsztyn, t. j. Morstein (1531—1544) i złotnik, i też burmistrz Erazm Büttner (1541—1547). Młodszym synem Ulrycha Hozjusza był znany kardynał Stanisław Hozjusz († 1579), którego proces beafikacyjny niedawno został wszczęty przez episkopat polski.

Dalej znane są nam z drugiej połowy w. XVI nazwiska wileńskich pastorów luterskich, Hioba Sommera i Jana Ulrycha rodem z Saksonii. Według I. J. Kraszewskiego, w tym właśnie czasie wójtem wileńskim był Symon Glaubitz, a brat jego stał na czele mennicy wileńskiej, gdzie też zatrudniony był Albert Schurz, bogaty a poważany obywatel Wilna. Że mennica wileńska całkowicie pod kierownictwem niemieckim się znajdowała, nad tem rozwodzić się

Feljeton, który może być użyteczny.

To się rzadko zdarza feljetonom, ale ten właśnie ma taką ambicję: chce być pożytecznym. Tak się już zajął.

Zacznijmy górną i uroczyście. Cóż może być piękniejszego na świecie, niż czynienie dobrze innym ludziom?... Dyrekcja Wileńska Polskich Kolei Państwowych również składa się z ludzi, którzy, nie wątpimy w to, ożywieni są najlepszymi chęciami służenia bliźnim. A bliźni P. K. P. są ci, których kolej żelazna przywozi do Wilna lub odwozi stąd. Robito zresztą wspaniale, bez żadnych zastrzeżeń i z wielką dla społeczeństwa zasługą. Niechże więc ta myśl zbożna towarzyszy i nadal mężom, stojącym na czele P.K.P., przy czytaniu tego feljetonu.

Ludzie, zwani z cudzoziemską pasażerami, na ogół zachwyceni są sprawnością naszych kolei, grzecznością służby, zabiegliwością Dyrekcji, lecz niektórzy mówią, że w tej beczce miodu znalazła się również łyżka dziegciu. Odjazd z Wilna i dojazd do niego połączony jest zazwyczaj ze wspomnieniami przymusowego zwiedzania jakiś lochów, pieczar, czy katakumb, zwanych tunelami peronowymi. Czy ta martyrologia jest tutaj konieczna?... Musimy jednak zważyć, że pewien odsetek pasażerów stanowią ludzie chorzy lub niezupełnie zdrowi, ulomni, podagrycy, artretycy, reumatycy, tabetycy, częściami lub zgoła paralitycy, dzieci, kobiety ciężarne, ludzie obciążeni pakunkami i niemający swobody ruchu. Pocóż więc tych ludzi torturować przez pędzenie ich po podziemiach stacji wileńskiej?...

Pytałem nieraz o zdanie fachowców, stawiając im pytanie: „Czy technicznie możliwym jest w Wilnie kierowanie ruchu pociągów przychodzących i odchodzących wyłącznie na pierwszy tor peronowy?...” Odpowiadano mi: „Pewnie, że to możliwe, ale maszyniści i zwrotniczy będą mieli więcej kłopotu z dostawianiem i odstawianiem pociągów, a poza to od czego są tunele?... Nie na to je jeszcze przed wojną kopano z niemałym trudem, aby je teraz zostawić bez użytku...”

To też racja. Nie nato kopano, aby obecnie

bodaj nie trzeba, bo odbite przez nich rodzaje monet wykazują wręcz niemiecki sznyt w formach wczesnego renesansu niemieckiego. Niektóre dalsze nazwiska zawdzięczamy jeszcze przypadkowym wzmiankom w rozmaitych publikacjach do historii Wilna. Tak np. znamy tą drogą obywateli Henryka Blunka, Marcina Kostella, Waltera Siebnera i kupca Korneliusza Wienholda.

Oczywiście, przytoczone wyżej nazwiska, w najmniejszym nawet stopniu nie wyczerpują zasięgu niemieckości w dawnym Wilnie, ponieważ bez wątpienia Niemcy stanowili znaczną większość członków wileńskiej gminy luterskiej, która, dzięki opiece wojewody wileńskiego księcia Mikołaja Radziwiłła Czarnego i jego kuzyna Mikołaja Rudego, powoli wzmocniła się na tyle, że w siedemdziesiątych latach w. XVI poważnie planowała w Wilnie budowę własnego większego zboru, niż podówczas istniejące w pałacach sprzyjających „nowinkom” wileńskich możnowładców.

Sonderling.

pozostawiać bez użytkowania. Tunel—to poważna rzecz, nie tak łatwo wykopać. Powaga rzeczy bije z tych chłodnych, wilgotnych ścian, z tej śliskiej posadzki, z tych schodów, które trzeba przemierzyć w dół i w górę, a których jest *sześćdziesiąt cztery*. W porównaniu z tą powagą, co znaczą wysiłki ludzi zdrowych, pół zdrowych i całkiem chorych, którzy muszą przebrnąć podziemia, aby dostać się do Wilna lub stąd wyjechać?...

Gdyby jednak Dyrekcja P.K.P. w Wilnie zadała sobie trud przeszacowania tych wartości — z jednej strony tunele i ich tradycje przedwojenne a z drugiej strony czas i wygoda dzisiejszej publiczności, — to wszyscy byśmy wykrzyknęli: „O, PEKAPE! ojcem nam jesteś a nie ojczymem, matką rodzoną, a nie macocha!...”

Nie można jednak powiedzieć, żeby za pozostawieniem tunelów i ich szerokiem użytkowaniem nie przemawiały pewne względy. Żyjemy pod znakiem rozwoju wszelkich sportów. Takie jest hasło czasu obecnego i taki jest prąd powszechny. Trzeba go uszanować. Mozolne wędrowanie w górę i w dół po katakumbach tunelowych może być uważane za wstęp do treningów alpinistycznych. A to, że tam pewna garść ludzi z wysiłkiem wdrapuje się i spuszcza po tych czeluściach, to drobnostka w porównaniu z kultem idei sportu. Jak jest idea, to muszą być dla niej ofiary.

Za zachowaniem trudnego dostępu na stację i do pociągów przemawia również, że tak powiem, wzgląd prestiżowy. Niech się nikomu nie zdaje, że do Wilna tak łatwo się dostać lub łatwo z niego wyjechać. To nie jakiś tam bylejaki Berlin, ani Paryż. Niech się każdy dobrze pomeczy, niech podagryk nasycy się z bólu, niech się tłuszcioch nasapie, niech się chromy nadźwiga pakunków po schodach, to wówczas zapamięta sobie nasze Wilno i jeszcze wnułkom opowie, jak to było.

Sport i prestiż — to są rzeczy bardzo wielkiej wagi i ani na chwilę nie chcemy kwestionować ich doniosłości i dlatego tylko z obowiązku dziennikarskiego zarejestrujemy zdania osób, chcących dokonać zamachu na obecną utylizację naszych tuneli. Mówią oni tak.

— Kolej żelazna powinna dać nam maximum udogodnień, na jakie ją w obecnych warunkach stać. Preforsowywanie tuneli nie tylko nie należy do udogodnień dla publiczności, lecz przeciwnie — stanowi dla niej znaczne utrudnienie. Na zachowanie przejść tunelowych trzeba by było się zgodzić tylko wówczas, gdyby ze względów technicznych było niepodobiestwem doprowadzanie pociągów pod pierwszy peron stacyjny. Tak jednak nie jest. Rachityczny ruch na stacji wileńskiej nie wymaga wykorzystywania wszystkich sześciu torów dla pociągów osobowych, jak to być może było przed wojną, gdy ruch pociągów był znacznie większy i gdy panował stary zwyczaj długotrwałych postojów na stacjach.

— Ale cóż robić z tunelami?...

— Przedewszystkiem — wyłonić Komisję dla opracowania planu do ich wyzyskania. Można by tam założyć szkołę jeżdżenia na rolkach (Scatingring), albo urządzić tam sztuczną pływalnię, jeżeli nam chodzi o niesprzeniewierzenie się idei sportu. Można by również zainstalować tam ciemnicę dla nieposłusznych i knąbrnych oraz wymagających pasażerów, coś w rodzaju Berezy Kolejowej, jeżeli nam chodzi o utrzymanie prestiżu...

— No i co więcej.

— Gdyby kolei chodziło o podniesienie dochodowości, to można by w tych pieczarach założyć hodowlę pieczarek. To bardzo dobry interes, a tunele zupełnie się do tego nadają.

Bolesław Szyszkowski.

W białej gorączce.

Żyje w powiecie sokólskim niejaki p. Furowicz. Posiadając koncesję na sprzedaż wyrobów monopolowych czerpie środki utrzymania z handlu wódką oraz innymi trunkami alkoholowymi. Z zajęcia tego jest bardzo zadowolony, bo i sam zarabia i skarb państwa wzbogaca, a co najważniejsze, ma możność utrzymywania bezpośredniego „kontaktu z ludem”. A że między jedną a drugą wizytą pijaka upływa nieraz spory kawał czasu, p. Furowicz jako człowiek pracowity przy ładzie wódczanej pisze o nowych drogach do mocarstwowości. Tak powstała cała książka pod niesamowitym tytułem „Dom Duchów”. Mówiąc o zagadnieniach narodowościowych autor ubolewa, że „Polacy stali się Białorusinami”. Trzeba tę prawdę wpoić w świadomość ludu, by powrócił do ojczystego pnia. W tym celu należy w Wilnie założyć seminarjum polskie dla księży prawosławnych a język cerkiewno-słowiański zastąpić staropolskim.

Inne recepty są utrzymane w tymże duchu. Są niemądre i nudne.

Zasługuje na uwagę jedynie następujące wezwanie: „Żyjących z nami obcoplemieńców boimy się(?). Hańba i wstyd tchórzliwym. Strach zapowiada śmierć, a ty, Polaku, chcesz jeszcze żyć i panować we własnym kraju. Nie bój się tedy i bij śmiało swoich gości”.

Nawoływanie do bicia własnych gości jest pomysłem niezaprzeczenie nowym i oryginalnym, który się zrodził w głowie p. Furowicza zapewne pod wpływem oparów wódczanych. A może p. Furowicz jest odłulkiem i chce w ten sposób odstraszyć swych znajomych od bywania w jego domu?

Jeszcze bardziej niezwykły program narodowościowy głosi wychodzące w świątobliwym mieście „Słowo Częstochowskie”. Dotyczy on zresztą wyłącznie Ukraińców. „Trzeba... rozpocząć waleniem pięścią w mordę ruską, żeby krwią cała hajdamaczyzna spłynęła... Trzeba powyrzucać z urzędów, stanowisk i posad wszystkich urzędników, nauczycieli i robotników narodowości ruskiej, czy pseudoruskiej, czy pseudoukraińskiej. Trzeba dla bezrobotnych ruskich... stworzyć obozy izolacyjne, ale takie, z których już żaden więcej by nie wyszedł. Trzeba pousuwać z wyższych i średnich zakładów naukowych wszystkich hajdamackich uczniów i studentów... Pozamykać ruskie gimnazja i szkoły powszechne... Do każdej gminy na przeciąg 5 lat zakwaterować bataljon wojska polskiego na utrzymanie gminy”...

Prasa warszawska, przedrukowując tę perełkę, poblaźliwie tłumaczy ją utratą przytomności w redakcji „Słowa Częstochowskiego”. Możliwie, że zespół redakcyjny za często zagląda do sklepu p. Furowicza. Ale czemu awanturników policja nie zamknie w kozie? Albo jeżeli niepoczytalność jest wynikiem białej gorączki, to czemu nie odwiezają ich do szpitala?

Step.

XXV-lecie kongregacji OO. Marjanów (1909 — 1934).

W roku bieżącym upłynęło równo ćwierćwiecze od chwili, gdy zaistniała zakonna *Congregatio Clericorum Regularium Marianorum*, nazywana też czasem *Mariae Immaculatae Congregatio*, skąd się wyprowadza wygodny skrót *M. I. C.* Największe zakony świata katolickiego, gdy się bliżej przypatrzymy ich początkowi, były nie tylko dziełem twórczości indywidualnej ich wybitnych założycieli, lecz też podsumowaniem doświadczeń życia duchowego epoki i potrzeb ówczesnej społeczności chrześcijańskiej.

Tak i dzisiejsi t. zw. czarni marjanie są w pewnej mierze nowym a poprawicem wydaniem dawnych białych (od koloru habitów) marjanów, którzy

powstali w w. XVII, powołani do życia przez świętobliwego Stanisława Papczyńskiego. U szczytu rozwoju swego ten zakon liczył 17 klasztorów (4 w Polsce, 4 w Litwie, 3 na Ukrainie, 1 na Białorusi, 4 w Portugalji, 1 w Hiszpanji i 1 w Rzymie). Stąd wiadać, że powstały na Litwie zakon ten miał szerokie ambicje katolickie. Ukaz cara Aleksandra II położył pod zaborem rosyjskim kres życiu i rozwojowi marjanów, zamykając nowicjat i skazując pozostałych ojców już tylko na wegetację.

Los chciał, że ostatnim białym marjaninem, kończącym swój żywot w macierzystym Marjampolu, na rumowiskach dawnej wspaniałości swego zakonu a potem w Sosnowie, był ostatni tegoż zakonu generał, o. Wincenty Senkus, spolszczony, według ówczesnej mody, na Senkowskiego. Jemu to wypadło, u schyłku samotnego a smutnego życia, stać się *arką przymierza* między starymi a nowymi laty.

Urodzony pod Marjampolem, arbp Jerzy Matulewicz-Matulajtis wyrósł w żywej jeszcze tradycji chwalebnej marjanów i zapewne już bardzo wczesnie powziął zamiar wskrzeszenia i uwspółcześnienia zakonu. Po r. 1905 myśleć o czemś podobnem nie było takim szaleństwem, jak jeszcze doniedawna. Korzystając z tego, ówczesny ks. prob. Matulewicz począł przygotowywać się do realizacji swego planu.

Data odrodzenia marjanów jest r. 1909, w tym bowiem roku, po uzyskaniu aprobaty Rzymu, odbyło się w Warszawie, w kaplicy biskupa sufragana dr. Kazimierza Ruskiewicza, uroczyste przyjęcie przez sędziwego generała o. Senkusa do zakonu nowych członków, w osobach ks. profesorów Matulewicza i Buczysa. Rychło ich śladem poszli liczni a wartościowi kapłani.

W parę lat potem zamknął oczy ostatni biały marjanin o. Senkus, i cała odpowiedzialność za byt i rozwój kongregacji spadła, w pierwszym rzędzie, na nowego przełożonego o. Matulewicza, który był od pierwszej chwili powstania nowej instytucji jej duszą, jej mózgiem i sercem, jej programem. Właśnie był żywym programem. Trzeba bowiem wiedzieć, że ustawa dawnych marjanów, bez zasadniczej reformy, była mocno przedawniona i zgóry nieprzystosowana do zadań współczesnego duszpasterstwa, tak ściśle związanego z akcją społeczną. Więc nie było dziś wskazane żywcem wprowadzać ją w odmiennych warunkach. Oprzeć znowu swe ustawy o ramowe dla nich schematy, jakie wypracował znany kapucyn o. Honorat dla nieprzeliczonej rzeszy u nas zgromadzeń żeńskich, nie wydawało się znowu dla ks. Matulewicza dostatecznie celowym.

Jako umysł nawskroś żywy, nie lubił żadnej rutyny, chociażby powoływała się nawet na imię wielkiego świętego, jak św. Franciszek Seraficki. Zachował tedy *wszystko*, co dało się wziąć u dawnych marjanów, i te dobre a wypróbowane *vetera* nie przestawał ciągle pomnażać przez czerpanie z życia i ksiąg *nova*. Wertował tedy *Institutum Societatis Jesu*, zastanawiał się i przyglądał we Fryburgu elicie dominikańskiej i nie śpieszył, wiedząc że praca ta ma na względzie wieki... Jeszcze będąc biskupem w Wilnie, wykańczał w wolnych chwilach tę ustawę, uzgadniając ją z nowym kodeksem prawa kanonicznego i z duchem czasu, pomny na hasło kard. Faulhabera: *Vox temporis vox Dei*! Dopiero po tej drugiej a żmudnej pracy, ustawa konstytucyjna marjanów poszła do Rzymu, by otrzymać tam sankcję najwyższą.

Kongregacja marjanów, to *alter Matulewicz*. Żyje on w niej ze swymi zasadami, ze swem szerokiem zacięciem społecznym, zawsze wierny katolickiemu uniwersalizmowi, a głęboko wierzący w możliwość pogodzenia narodów na podstawie nieprzedawnionej równości i sprawiedliwości chrześcijańskiej. Chcąc oszczędzić swemu zgromadzeniu tarć narodowościowych, które rozsadzają nieraz stare nawet zakony, podzielił on administracyjnie zakon cały tak, że ma on tyle prowincyj (lub ich zaczątków), ile narodowości ma obsłużyć, przytem *każdej* z nich, zagwarantowana jest prawnie a ustrojowo pełna możliwość pracy na *swoim* etnograficznym terenie, dla swoich złomków i w *swoim* języku. Na początku kręcono z niedowierzaniem głowy na te dziwne a niesłychane dotąd u nas pomysły, atoli dwudziestopięcioletnie doświadczenie wykazało, namacalnie a dowodnie trafność takiego ujęcia rzeczy. Tak więc polscy marjanie pięknie się rozwijają i jedną sobie przyjaciół na terenach rdzennie polskich (Mazowsze, Podlasie), litewscy pracują w Litwie niepodległej i obsługują swoją diasporę w Stanach Zjednoczonych i Anglii, łotewscy w Wielonie i białoruscy w Drui tworzą zaczątki osobnych własnych prowincyj, a nie brak już w zakonie i Ukraińców.

Od lat kilku rozpoczynając ponadto pracę misyjną w obrz. wschodnim, tj. gr.-katolickim, objęli marjanie tak eksponowaną placówkę, jak Charbin. Pewne francuskie zgromadzenie zakonne, męskie, pokrewne tytułarnie (kult Niepokalanego Poczęcia N. M. P.) marjanom zabiegało już nawet o zlanie się w jedno, składając w ten sposób daninę czci duchowi i sprężystości młodej jeszcze kongregacji, mającej za hasło: *Pro Christo et Ecclesia!*

Vigilans.

Sprostowanie.

Mój referat *Un demi-siècle d'histoire de l'Ordre des Basiliens (1882—1932). Essai de synthèse* ukazał się raz, jak odblask z dzieła zbiorowego: *La Pologne au VII-e Congrès International des sciences historiques* (nakładem Polskiego Towarzystwa Historycznego w Warszawie, 1933 r.) i po raz drugi jako odblask z *Contribution à l'histoire de l'Ukraine au VII-e Congrès International des sciences historiques* (nakładem Naukowego Towarzystwa imienia Szewczenki we Lwowie, 1933 r.). Ostatnią miał pod ręką p. Grek, gdy omówił mój referat na szpalta h „Przeglądu Wileńskiego”. Natomiast *Analecta O. S. B. M.*, wbrew twierdzeniu p. Greka, nie w tym względzie nie wydrukowały i nie wydrukują.

Żółkiew.

Ks. J. Skrzuteń O. S. B. M.

Bibliografia.

Brensztejn Michał. *Dionizy Paszkiewicz*. Pisarz polsko-litewski na Żmudzi. Wydawnictwa T-wa Pomocy Naukowej im. E. i E. Wróblewskich. Wilno 1934.

Oto mamy już trzeci tom monografij wydanych nakładem T-wa Pomocy Naukowej im. Wróblewskich. Pierwszy zawierał pracę M. Brensztejna o Kirkorze, jako wydawcy, redaktorze i właścicielu drukarni w Wilnie, drugi—studjum J. Gołąbka o Wincentym Dunin-Marcinkiewiczu, poecie polsko-białoruskim i wreszcie trzeci, który świeżo ukazał się z pod prasy drukarskiej, zawiera szczegółową biografię i charakterystykę Dionizego Paszkiewicza, pisarza polskoliteńskiego z początku XIX w. Nie wliczamy do tego cyklu obszernego studjum prof. M. Zdziechowskiego p. t. „Chateaubriand i Bourbonowie”, wydanego na

początku b. r. również nakładem wspomnianego T-wa, jako odbiegającego treścią swą i charakterem od ustalonego typu wydawnictw T-wa. Dzieło powyższe zostało wydane przez Komitet T-wa Pomocy Naukowej im. Wróblewskich w drodze wyjątku dla uczczenia pięćdziesięciolecia pracy pisarskiej autora, który jest prezesem Komitetu. Omawiana praca M. Brensztejna stanowi jakby *pendant* do monografii J. Gołąbka. Tam przedstawiony został pisarz polsko-białoruski, tu polsko-litewski. Portret duchowy Dionizego Paszkiewicza (Poszki), autor odmalował zwięźle w następujących słowach:

„Żarliwy patriota litewski, i jakby go dziś nazwano, regionalista żmudzki, cały pochłonięty legendą świetnej przeszłości swego narodu, uwielbiający jego bohaterów mitycznych i rzeczywistych, marzy o wyniesieniu mowy litewskiej z cieniów kurnej chaty chłopca żmudzkiego pod dach dworu szlacheckiego. Popularyzuje ją więc przy każdej nadarzącej się okazji, używając narówni z polską czy to w poważnym utworze poetyckim, czy to w wierszyku żartobliwym, liście przyjacielskim, ba! nawet w artykule naukowym, o przeszłość kraju potracającym. I to było charakterystyczną cechą jego działalności pisarskiej, że, traktując oba języki równorzędnie, to w jednym, to w drugim myśli swe wyrażał, zmuszając niejako swe otoczenie również do równorzędnego ich stawiania.

Oczywiście, pragnąc rzecz jakąś rozpowszechnić poza granicami Żmudzi, zainteresować nią koła naukowe nie tylko warszawskie, lecz nawet wileńskie, nie mógł zamykać się w ciasnych granicach języka, za czasów Paszkiewicza jeszcze w słowie drukowaniem nie wybiegającego poza książki treści dewocyjno-religijnej, a długo jeszcze mającego oczekiwać na pierwsze czasopismo. Dlatego też wszystkie swe artykuły o charakterze naukowym drukował w języku polskim, język litewski rezerwując dla utworów poetyckich, które imię Paszkiewicza wprowadziły do Panteonu zasłużonych twórców piśmiennictwa narodowego litewskiego”.

Zgodnie z powyższem autor uwzględnia w swej pracy twórczość Paszkiewicza zarówno w języku litewskim, jak polskim. Skrętnie zostały tu zgromadzone wszystkie dane, dotyczące życia, pochodzenia i działalności pisarskiej tego oryginalnego szlachcica ze Żmudzi, który w swoich Bordziach stworzył muzeum starożytności litewskich i utrzymywał kontakt z ówczesnym światem intelektualnym w Wilnie i Warszawie. Może za dużo tylko miejsca p. Brensztejn poświęcił wywodom genealogicznym.

Osobny rozdział traktuje o słynnym dębie *Baublisie*, uwiecznionym w „Panu Tadeuszu”, w którego pniu właściciel Bordź urządził altanę oraz umieścił zbiór pamiątek narodowych litewskich. Pień ten dotąd istnieje w Bordziach. Jak wyglądał *Baublis*, daje o tem pojęcie dołączona do książki rycina, będąca reprodukcją fotografii tego ciekawego zabytku z początku XX wieku.

Autorowi za napisanie, a T-wu Pomocy Naukowej im. Wróblewskich za wydanie tak cennego przyczynku do dziejów kultury krajowej należy złożyć szczere podziękowanie.

a.

M. Mašara. *Na soniečny bieraŭ*. Vilnia 1934 hod.

Ukazania się nowej książki białoruskiej u nas ostatnimi laty nie można, niestety, zaliczyć do zja-

wisk częstych i pospolitych. W społeczeństwie białoruskim, bardziej niż w jakim innym, ostro odczuwa się brak pieniędzy, to też działalność wydawnicza ma tu charakter wyłącznie społeczno-narodowy. Kierując się takimi pobudkami patriotycznymi p. p. Hłakowski i Najdziuk wypuścili w świat pod pomienionym tytułem zbiór 73 wierszy młodego poety białoruskiego Maszary. Szatę zewnętrzną książeczki można uważać za całkiem udatną. Na okładce widnieje reprodukcja obrazu Siergiejewicza, przedstawiająca walkę wioślارza z rozhukanym żywiołem. Rycina ta niejako symbolizuje treść ważniejszych wierszy, zawartych w części pierwszej zbioru.

Nazwisko Maszary nie jest obce czytelnikom białoruskim. Wiersze jego można napotkać w niejednym czasopiśmie białoruskim. Omawiany zbiór daje możliwość zapoznania się z całokształtem twórczości młodego poety.

Już z samej treści wierszy można uchwycić sylwetkę autora. Jak większość poetów białoruskich, jest to syn wioski, który oczywiście nie miał możliwości oddawać się specjalnym studjom literackim. Musi pracować na roli, ba, nawet wynajmować się do ciężkiej pracy fizycznej, marnie opłacanej, byle z czego żyć. Nie przeszkodziło to mu interesować się ruchem narodowym, któremu poświęca gorące strofy. Niepodobna było poecie uniknąć działalności o charakterze politycznym. Porwał go swego czasu jak wielu innych zawrotny rozpęd „Hramady”. Osadzony w więzieniu na Łukiszkach czasu nie marnuje. I tu chwyta za pióro. Wiersze napisane za kratą (rozdz. IV) należą może do najbardziej wyrazistych i mocnych.

Maszarę możnaby naogół nazwać piewcą patriotycznego optymizmu. Świat pracy naturalnie jest mu bliski i drogi. Nie jest mu również obce piękno rodzinnej przyrody. Niema natomiast w całym zbiorze wiersza o zabarwieniu lirycznym. Odnosi się wrażenie, że stało się to nie bez wpływu sowieckiej twórczości poetyckiej.

Co do formy można mieć wiele zastrzeżeń. Autor nadużywa metafor i posługuje się niewybrednymi rymami. Odnosi się wrażenie, że Maszara nie ma zwyczaju „szlifować” swoich wierszy. A taka praca bardzo by się przydała. Stąd to, w przeciwieństwie np. do Arsieńniewej, wierszom Maszary brakuje jednolitości. Obok doskonałych spotykamy nieraz jakby niewykończone.

Język Maszary jest typowym językiem literackim białoruskim, nie odznacza się jednak zbyt wielkim bogactwem.

Naogół tomik poezji Maszary należy potraktować jako pierwszy występ młodego poety na szerszej arenie, do którego nie należy stosować surowej krytyki, jeżeli się zważy, iż w życiu autora dotychczas nic nie sprzyjało rozwojowi jego talentu. Szaryzna dnia powszedniego w zapadłej wsi, brak pod ręką dzieł literatury nowszej, skądby można było czerpać wzór, kłopoty rodzinne i walka o byt — wszystko to oczywiście nie ułatwia poecie twórczości. Należy jednak stwierdzić, że Maszara posiada niezaprzeczonego talent, który w sprzyjających warunkach może zabłysnąć w całej pełni.

S-wicz.

Pamiętnik IV pińskiej konferencji kapłańskiej w sprawie unji kościelnej. Pińsk. 1934. Str. 110+5 nlb.

W połowie lata bieżącego, wydział obrządku wschodniego przy kurji biskupiej w Pińsku, zwy-

czajem lat ubiegłych wydał swym nakładem pamiętnik odbytego zjazdu unijnego. Nieco mniejszy w tym roku, bo nie zamieszczono kilku wygłoszonych referatów, jak np. *Ci szto pramaulaje za obradom zachodnim?* ks. Bol. Poczopki albo *Jak wygląda praca misyjna na Polesiu w praktyce* ks. prof. Zen. Kałeniuka i in. Dyskusję poodczytowa, może najciekawszą część obrad pińskich, podano w formie skróconej.

Zeszyt rozpoczyna się od preliminarjów konferencji, a więc programu, personaljów uczestników (135, w tej liczbie dużo widzów, sporo gapiów i nie brak notorycznych wrogów unjonizmu i innych wyznawców nacjonalizmu), otwarcia, list i depesz nieobecnych, inauguracji referatów i t. d. Szereg ich rozpoczyna zasłużony senjor unjonistów polskich ks. Urban przejrzystym referatem na temat: *„Czy jest możliwe zwołanie przez prawosławnych Soboru powszechnego?”* Dalej idą referat i korreferat o teorii i praktyce spowiedzi u prawosławnych, wygłoszone kolejno przez ks. prof. Swirskiego i ks. Weličzkowskiego i mogące zainteresować nawet nie specjalistów.

W drugim dniu na pierwszy ogień poszedł pasjonujący temat *„Bizantynizm jako forma kultury”*, gruntownie opracowany przez rektora gr.-kat. Akademii teologicznej we Lwowie, ks. prof. Slipyja. Tu dyskusja była najbardziej emocjonująca. Czas wielki, by do bizantynizmu potrafiło wszędzie ustosunkować się *ściśle naukowo*, a nie zwalczano go wciąż jeszcze argumentami czysto publicystycznymi lub wręcz demagogicznymi.

Referat ks. rektora Antoniego Dąbrowskiego T. J.: *„Wschodni czy łaciński obrządek”* był wprawdzie b. aktualny, lecz zbyt już kurtuazyjny, niedość mocny i ustepliwy. *Referent nie widzi istniejących w świecie realnym polskich księży łacińskich i apeluje do jakichś nierealnych, istniejących tylko w jego wyobraźni kapłanów polskich.* Nie tędy drogą! Korreferat bezkrytycznego adepta obrządku łacińskiego i grawitującego nieraz do endecji o. Poczopki, jeszcze bardziej to wrażenie umocnił.

Compte rendu kończy bądź co bądź ciekawy pamiętnik.

Fid.

Miód z dziegiem.

Trzeci tomek „Biblioteczki Włóczegi”, wydanej nakładem klubu „Włóczegów” zawiera treść dość niezwykłą „18 ohydnych paszkwilów na Wilno i Wilnian” — tak brzmi tytuł tego dzieła. Autor jest całkiem anonimowy, nawet pseudonimu żadnego nie przybrał.

Tytuł nie zupełnie odpowiada treści. Nie wszystkie zamieszczone w zbiorze utwory zasługują na miano ohydnych paszkwilów. Tych nawet jest stosunkowo niewiele. Reszta — to epigramaty i wierszyki o zacięciu satyrycznym. Niektóre nawet są wcale udatne: Np. „Biografia”.

*„Gdy będziemy słać tę osobę
powiemy krótko:*

*przepływał kajakiem po sto wiorst na dobę
i skasował gimnazjum białoruskie w Nowogródku.*

Albo „W sprawie świąt narodowych”:

*Dziwnem się to wydało małej makolągwie
że wszędzie świecą lampki i szumią chorągwie.
Do zdziwionego ptaszka rzecze tak przechodzień:
„My już dawno przywykłyśmy, bo u nas tak
codzień”.*

Ale łyżka dziegciu psuje beczkę miodu. Tym przysłowiem dziegiem jest parę istotnie *obydnych* pamfletów, a jeden zwłaszcza dwuwiersz jest wprost niedopuszczalny i oburzający. Dziwić się tylko można, że klub „Włóczegów”, lubujący się dotąd w koturnach, uważał za stosowne udzielić swojej firmie tym nieprzyzwoitym wybrykom.

l.

Od Wydawnictwa.

Ostatni Nr. 15 „Przeglądu Wil.” z d. 29 września b. r. został skonfiskowany za artykuł p. t. „Niedola Polesia”. Prenumeratorom naszym rozesłaliśmy nowy nakład (Nr. 15a), z którego usunęliśmy skonfiskowany artykuł.

Z powodu dość późno zarządzonej konfiskaty w ekspedycji nastąpiło pewne zamieszanie, skutkiem którego być może część prenumeratorów nie otrzymała ani pierwszego ani powtórnego nakładu. W tym wypadku prosimy czytelników o reklamację do administracji naszego pisma.

DRUKARNIA NAKŁADOWA

„LUX”

Wilno, Portowa 7, telef. 203

Wykonuje wszelkie prace w dziedzinie
drukarstwa we wszystkich językach krajowych

DRUKI PIĘKNE — ILUSTRACJE WIELOBARWNE